

ZBIERACZ

LITERACKI I POLITYCZNY.

OBLAKANA.

POWIEŚĆ Z WOJNY 1812 ROKU:

Północ się zbliżała w pamiętnym dniu 28 Listopada 1812 roku kiedy książę *Bellano* przechodząc na drugą stronę Berezyny powierzał generałowi *Eblé*, los trzydziestu tysięcy nieszczęśliwych marodców z armii *Napoleona*. — generał ten w moment ułożył sposób obrotu, w moment wydał rozkazy. — ~~Adju-~~ adjutant dobiegł z niemi do Studzianki — pyta się o dowódcę. — Tam dalej, ten tam chłewik generał tam jest. — Tyżes to *Filipie!* rzekł adjutant poznając głos przyjaciela — Ach! to mój stary towarzysz. odpowiedział major *de Sury* spoglądając na adjutanta, również jak on dwadzieścia trzy lat mającego — Szukam generała *Fournier* żeby natychmiast wyruszył do Gembina. Ledwie macie czas przebiec się przez tę masę trupów, którą popędzą na drugą stronę rzeki, paląc te baraki, bagaże, wszystko. — Pożar ten

jedynym ratunkiem. — Dla Boga muszę ocalić dwoje przyjaciół, dla nich to nie zjadam mięso konia — Zmiłuj się adjutantcie! kawał suchara nic w ustach trzydzieści godzin... Nie domówił.. usta jego zlodowaciały, a adjutant odszedł aby nie zmarznąć — Lecz silne uczucie wskresiło w nim siły dla ratunku przyjaciół: — O Boże! tam *Julia!* tam jej powóz... ten ogień... ruszaj wierny mój koniu! Skoro ludzie siedzący przy ogniu usłyszeli tentent konia, powstał między niemi krzyk szala głodu i nieszczęścia. — Ustąp się! zawołało dwóch mierząc do konia: — Lotry! — Co ten oficer gada? pal! krzyk kobiety rozległ się razem z wystrzałem — Szczęście samkoń padł. — Kobiętą tą była *Julia* żona starego generała hrabiego *de Vandieres*, który od trzech dni prawie zdzieciniał, teraz siedział obok niej grzejąc się przy ogniu. — *Filip* schwyił rękę hrabiny: lecz miledzał, głód przytłumił w nim odwagę i miłość. — W krótkie upiekły się

kawały mięsa, wszyscy nasycili się niemi. — Pierwszy raz widziano 30 piechurów na jednym koniu: «zawołał ogromny grenadyer — Ten żart w takim stanie dowodził iż to byli Francuzi. — W tém okropny krzyk i wybuch prochu przestraszył wszystkich — Przelotny płomień pożerał baraki, bagaże. — Wśród tego piekła, kolumna żołnierzy, szła do mostu po trupach. — «To odwrót tylnéj straży» zawołał major. — Już niema nadziei! Nagle ogarnęła go myśl rozpaczą natchniona. — «Przepadliśmy rzekł do żołnierzy» — Wiem o tém odpowiedział grenadyer — «Nie lepiejże odważyć życie dla pięknej kobiety! — W tém szczęśliwy los zdarza, ukazały się rozbiegłe konie, rzucono się na te, pochwycono i w moment przyprężone zostały jak było można do powozu. — Wsadzono generała i *Julią* którzy prawie na pół umarli nie mieli siły ani powstać, ani uczuć okropnego położenia. — Major wsiadł na jednego konia, grenadyer na drugiego. — «Czy chcesz dojechać?» zawołał grenadyer. — «Kosztam całej krwi mojej! kosztem świata całego!» odpowiedział major — «Ruszajmy! naprzód: «bez pracé nie będą kołace» — I to rzekłszy grenadyer, wjechał na ludzi, zakrawił koła i na tém

polu głowami posianem, wyrwał dwie brozdy śmierci. — «Nieszczęśliwi! zawołał major. — Wszystko im jedno majorze, mróz! armaty! czy koła! w takiej biédzie nie warto żałować życia. — Nagle krzyk trwogi powstał. — Działa rosyjskie grzmieć zaczęły. — Studzianka zajęta. — Nieszczęśliwi jak wezbrana fala rzucają się na most, lecz ten wali się obciążony tłumem, a Berezyna okrywa się trupami!. Cofa się wszystko dla uniknienia téj śmierci, a w tém cofnięciu, duszają jedni drugich. — Moc fizyczna ocaliła grenadyera i majora, zabijali aby ich niezabito; generała i *Julią* ocalił powóz w którym siedzieli. — Tłumy rozsypały się po płaszczyźnie, a major grenadyer, jenerał i jego żona, pozostali otoczeni masą trupów, kilku żołnierzami i oficerami. — Major postrzeżga reszty mostu, — «Zróbmy tratwę!» zawołał. — Ledwie wyrzekł te słowa, a cała gromada pobiegła ku tym szczątkom. — Jenerałowie, półkownicy, żołnierze, uginają się pod ciężarem koł, sznurów, desek. — Drzewo trzaskało — tratwa rosła — nareszcie dokończoną czterdziestu ludzi zepchnęło w rzekę, a dzieściu trzymało ją sznurami przy brzegu — Major lękając się niebezpieczeństwa téj piérwszój chwili,

trzymając za rękę generała i *Julia* stał na brzegu; gdy w tém ujrzał tratwę zapelnioną ludźmi, którzy odpychali już ją od brzegu. — «Dzicy! zawołał, ja waszym zbawcą! a odmawiacie dla mnie miejsca? — Do trzystu kartaczy zawołał grenadyer, rzucę was w wodę jeżeli nie przyjmiecie majora i jego towarzyszy. W tém niebezpieczeństwie, jakiś sierżant chciał go zepchnąć, ale przytomny grenadyer porwał go i rzucił w rzekę mówiąc: «A ha! kaczko! chce ci się pić, ruszaj. — O to są dwa miejsca majorze!». *Julia* ścisnęła rękę przyjaciela — rzuciła się w jego objęcie, — była to okropna proźba. Dwa miejsca, żegnam cię, rzekła. — Zrozumiwały się ich serca. — Major generała i *Julia* prawie wepchnął na tratwę, — sam pozostał — «Majorze! weź moje miejsce rzekł grenadyer, nie mam żony, dzieci, matki! —» O biedna matko! zawołał major, a lzy nie dozwoliły mu mówić dalej, wskazał tylko na generała i *Julia* — Zrozumiał go grenadyer i rzekł — «Bądź spokojny! — Tratwa już się zbliżała do przeciwnego brzegu, w tem kra o nią uderza — mocne wstrząśnienie — generał stał na jej brzegu — wpadł w rzekę! a w tej chwili druga kra urwała mu głowę i rzuciła ją daleko jak kulą. —

O Boże! zawołał głos kobiety — Majorze! zawołał grenadyer, a *Filip de Sury* padł na ziemię przejęty okropnością, zwalczony zimnem, żalem, utrudzeniem i smutkiem.

Dokończenie nastąpi.

WDOWA.

Życie kobiety jest zwierciadło, w którym się bez ustanku odbijają tylko rysy ulubionych jej osób; jestto czarodziejski kwiat, który wszystkich serca i oczy zajmuje, dla wszystkich staje się rozkoszą, a jednak przy tak wielkiej sile niewystarcza sam dla siebie, i niknie w samotności. Jestto piękna gwiazda tym szczególniejsza, że blask swój ma jedynie z oczu patrzących. Jestestwo kobiety zasada się na jej sercu. W niem zawarte uczucie delikatne i silne, płomień który przy niewinności staje się dla niej rozkoszą, przeznaczeniem, i razem węzłem towarzystwa. Tkliwością tylko żyje kobieta. Często w postępowaniu przecucie czystego jej serca lepiej nią rządzi, aniżeli rada rozumu najdalej przewidującego. Wszystkie władze jej duszy mogą być na chwilę uśpione; lecz ser-

ce przez cały ciąg życia musi być czynne, musi być zajęte jakim przedmiotem któryby stanowił żywioł jej uczuć: inaczey kobieta traci cały swój urok, i mimo cnót swoich i wdzięków, nie będzie miała w sobie tej tajemnej władzy, przed którą rozum upada.

Tak w wiosnie dni, nim niewinna dziewica uczuje płomień miłości: podziela kliwość swoją pomiędzy matkę, ojca, rodzeństwo i przyjaciół. Piękne jest jej serce, ile razy w niem odbije majowy poranek, lazrowe nieba, kwieciste łąki, zdroj zwiersciadlany, i głos słowika słodko zabrzmie. Wtenczas najlepiej sympatyzuje z myślą przyrodzenia. Wtenczas myśl jej niewinna ulata w niebo, jak anioł w swoje mieszkanie. — Wtenczas piersią czystą chciałaby całą ziemię ogarnąć; i wtenczas pierwszy raz słodka tęsknota mówi jej nieznanym głosem do duszy, głosem przeznaczenia, że jej życie nie jest dla niej na ziemi.

Daleko piękniejsze serce kobiety, kiedy je zajmie po raz pierwszy niewinna, czysta miłość; ta gorączka młodości, ta poezya życia. Odtąd chwila

szczęścia zostanie jej przytomną do zgonu. Każde bicie serca poi ją rozkoszą. Wszystkie myśli, wszystkie marzenia, w jednę myśl spływają, a tym ostatnim jej celem, ostatnią chęcią, myślą, marzeniem, jest ten, do którego uczucie ma ją przywiązać do grobu.

W takim stanie doczeka chwili złączenia: a jeśli znajdzie w towarzyszcu życia swojego, co o nim przed ślubem marzyła; jeśli jej dusza, w której od młodości jakby we śnie odległe błyskały niebios, ta sama dusza dotknie się swych niebios w rzeczywistości: powiedźcie wtedy wy wszyscy co się szczęśliwymi nazywacie, czyście w życiu uczuli podobną rozkosz, i czy niebo naznaczyło dla ludzi wyższy stopień szczęścia? Biada jej, jeśli to życie zaśnie, w którym całe swe nadzieje zawarła! Już ona nie ma łez na oplakanie swjej straty. Serce jej przepelnione uczuciem nadzwyczajnej rozkoszy, nagle potem dotknięte boleścią nieporównaną, ginie odrazu lub gaśnie stopniami. Dlatego smutniejsze jest życie młodej, cnotliwej wdowy, która znalazła w przedmiocie swych uczuć to, za czem ser-

ce jój gouilo. Drugi raz już nie spotka podobnej osoby, a choćby ją z temi samemi przymiotami, z tą samą nawet duszą, wynaléźć mogła; już nie zobaczy swego szczęścia, bo już zagasł, razem z życiem męża, wzrok jój otoczony urokiem dziecięcego marzenia i piérwszych dzieciennych uczuć. — W téj boleści świat małżeń na chwilę jest dla niój pociechą. Przeszłość, utłuda wspomnień, stawia jój za rzeczywistość. Żyje wtenczas pamięcią i snami swoich rozkoszy; spokojna, dopokąd z marzeń nikt ją nie przebudzi. Całe jój jestestwo wybiega bez ustanku za granice życia, gdzie spodziéwa się znówu ujrzéć swoję strąę. Jedno tylko imię, słodkie imię matki, jak gdyby głos przyjaciela, co w nieszczęściu do nas ręce wznosi — tak, to imię przyciąga ją jeszcze do ziemi; i to ją najczęściej z światem godzi.

Zamyślona, mając u stóp dziatki swoje zajęte niewinną zabawką; jedną połową swojego jestestwa jest przy nich, a drugą w dalekich nadziemskich krajach. Myśl jój, jak bańki któremi jój dzieci się bawią, wzniesione wysoko, trącają za-

wsze o sklepienie niebios, o wyrok przeznaczenia, i spadają we łzach. Ale kiedy spojrzę na dzieci — miłość żony ginie przed uczuciami matki. Tkliwość macierzyńska przemaga nad jój sercem. Ta jedna rozkosz zaciéra w niój powoli myśl o stracie. Z czasem pamięć słabnie; wrażenia nie tyle dotkliwe; a tak zwolna żał za zginioném szczęściem zmniejsza się i ustaje: jednak do śmierci pozostanie na dnie duszy tęsknota tajemna, myśl gorzka, która wzbudzona najmniejszym wspomnieniem, wybucha boleścią gwałtowną. — Takie jest życie wdowy, jeżeli ciąg marzeń i snów, rzeczywistém życiem nazwać można. A. J. S....

PANICZ i DZIEWCZYNA.

—(z *Odyńca*.)—

W gajku zielonym
Dzięwcę rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.
I grzecznié się skłoni,
I z konia zeskooczy:
Ona się zapłoni,
Na dół spuści oczy.
•Dzięwczyno kochana!
Dziś na te dąbrowy,
Z kolegami zrana
Bzybyłem na łowy.

Leez trafić mi mogę,
Gdzie leży miasteczko,
Wskaż proszę mi drogę
Piękna pasterczko!

Czy prędko mię z lasu
Ta ścieżka wywiedzie? —
— Jeszcze pan zawczasu
Do domu zajedzie.

Widzisz pan to drzewo,
Koło drzewa brzożki;
Stąd zaraz na lewo,
Potem koło wioski.

Przez gęsty zarostek,
W prawo ponad rzeczką;
Tam młynek i mosiek,
I zaraz miasteczko. —

Panicz podziękował,
Czule rączkę ścisnął,
Wustka pocałował.

Na konika świsnął.
Siadł, ostrogą spina;
Już nie widać jego...
Westchnęła dziewczyna,
Ja nie wiem dla czego.

II.

W gaiku zielonym
Dziwczę rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

I woła z daleka:
•Pokaż inną drogę?
Za wioską jest rzeka,
Przejechać nie mogę.

Ni mostku żadnego,
Ni brodu wytropić;
Chceszli mnie młodego
Niewinnie utopić? —

— •To jedź pan drożyną.

Na prawo kurhanu. —

— •Bóg zapłać dziewczyno! —

— •Dziękuję Waćpanu. —

Włas poszła drożyną,
Nie widać młodego;
Westchnęła dziewczyna,
Oj! wiem ja dla czego.

III.

W gaiku zielonym
Dziwczę rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

I zawoła znowu:
•Dziwczyno! dla Boga!

Wjechałem do rowu,
Takaż twoja droga?

Nie jeździł w te szlaki
Nikt z dawnego czasu,
Chyba wieśniak jaki
Po drzewo do lasu.

Poluję dzień cały,
Koniam nie popasał;
Jeździec zadyszany,
Konik się zahasał.

Zsiądę i z ponika
Pragnienie ugaszę;
Odkielznam konika,

I puszczę na paszę. —
I grzecznie się skłoni,
I z konia zeskooczy:
Ona się zapłoni,
Na dół spuści oczy.

Ten mileży, ta wzdycha;
Po niedługiej chwili,
Ten głośniej, ta ścicha,
Coś z sobą mówili.

Lecz, że wietrzyk dmuchał
W tę stronę dąbrowy,
Przetom nie dosłuchał
Panicza rozmowy.

Lecz z oczu, lecz z miny,
Tom pewnie wyczytał,
Że więcej dziewczyny
O drogę nie pytał.